

Jan Maciejewski: Listopad. Pieśń kozła [OPOWIADANIE]

Nie odważyłbym się samodzielnie zabrać do pieczenia chleba, o zabijaniu świniaka czy warzeniu piwa nie wspominając. Ale wspólnie z Hodgkinsonem, a także Wergiliuszem, Hezjodem, Cobbettem i wieloma innymi, chciałbym wziąć udział w tej przygodzie dwunastu miesięcy. Zastanowić się, co każdy z nich znaczy. Jak rytm historii i naszego życia splatają się z następstwem pór roku – pisze Jan Maciejewski we wstępie do cyklu opowiadań, które co miesiąc będą ukazywać się na łamach „Teologii Politycznej”.

Najważniejszymi i zarazem najpowszechniej lekceważonymi spośród wszystkich sztuk życia codziennego są trzy: filozofia, gospodarzenie i uciecha. Filozofia to poszukiwanie prawdy i dociekanie, jak dobrze żyć. Gospodarzenie to sztuka zapewniania bytu sobie i swojej rodzinie, uciecha zaś to sztuka zabawy: biesiadowania, tańca, żartów i śpiewu.

Tak zaczyna się jedna z najbardziej niezwykłych książek, jakie ukazały się po polsku w ostatnich latach – „Stary wspaniały świat” Toma Hodgkinsona. To podręcznik, choć nie do końca wiadomo jakiego przedmiotu naucza. Sam o sobie stwierdza, iż jest „praktycznym poradnikiem gospodarzenia, czyli sztuki dbania o samego siebie”. Dla każdego z miesięcy odnajduje jakieś zadanie: styczeń ma rąbać drzewo, luty – kopać w ziemi, marzec – wysiewać nasiona i tak dalej. Ale to bilet

do podróży dużo dalszej niż tylko na działkę czy za miasto. To przepustka do innego świata. Tego, w którym rytm przyrody i życia człowieka był złączony na dobre i na złe. Kiedy płakaliśmy razem z listopadami i upajaliśmy się słońcem nie mniej niż maje. Gdy fizyczny wysiłek, praca mięśni znajdowała swój odpowiednik w filozofii – w podobnym rytmie uprawialiśmy ziemię i duszę. A ukojenie jakie przychodziło wraz z zabawą nie było ucieczką przed rzeczywistością, tylko odkryciem kolejnego jej oblicza.

Świat, który być może nigdy nie istniał. Znamy go dziś właściwie tylko ze starożytnych i średniowiecznych pism, ale tym bliższe może stać się nam marzenie o nim. Nie odważyłbym się samodzielnie zabrać do pieczenia chleba, o zabijaniu świniaka czy warzeniu piwa nie wspominając. Ale wspólnie z Hodgkinsonem, a także Wergiliuszem, Hezjodem, Cobbettem i wieloma innymi, chciałbym wziąć udział w tej przygodzie dwunastu miesięcy. Zastanowić się, co każdy z nich znaczy. Jak rytm historii i naszego życia splatają się z następstwem pór roku. Dlaczego rewolucje bolszewicka wybuchła jesienią, Wielka Wojna – latem, a Boże Narodzenie świętujemy w zimie?

Głównym uczuciem jakie zostawiła we mnie lektura książki Hodgkina jest to, że coś ważnego przegapiliśmy. Próbujemy rozwiązać długie równanie, a zawieruszyła się nam pewna bardzo istotna zmienna. A w zasadzie dwanaście zmiennych.

Wszystkie autorytety zgadzają się, że listopad jest miesiącem świniobicia. (...) Beda Czciogodny nazywał listopad „blod-monath” (krwawy miesiąc).

Tom Hodgkinson

Listopad. Pieśń kozła

Na motywach biografii Warłama Szałamowa

Pamiętam wszystko. Na końcu ścieżki czekała cerkiew, od brzegu jeziora oddalona o jakieś dwieście metrów. W wietrzne dni szum uderzających o brzeg fal kołysał modlącymi się ludźmi. Tylko ojciec pozostawał nieruchomy, niewzruszony, poza czasem i jego rytmem. Każdy ruch wykonywał stanowczo. To były jego gesty i słowa, przypadkowo tylko zgodne z liturgicznymi formułkami. Wiele lat po śmierci ojca, po trochu z przypadku i ciekawości, odwiedziłem jedną z moskiewskich cerkwi. Widok człowieka ubranego tak samo, jak on, naśladującego (tak o tym wówczas pomyślałem) jego zachowanie przed ołtarzem wydał mi się niegodny. Nie wiem tylko którego z tych dwóch: ojca, czy skurzonego staruszka z siwą brodą.

Nasza cerkiewka była nowa, unosił się w jej wnętrzu wciąż jeszcze raczej zapach lasu niż kadzidła. I może nawet teraz, jeżeli jeszcze tam jest, pachnie tak samo. W środku mogło się zmieścić nie więcej niż trzydziestu ludzi, ale rzadko przychodziło aż tylu. Ci, którzy pierwszy raz przyплыwali na wyspę, mieli problemy z jej wypatrzaniem. Zlewała się z lasem, miała podobny kolor do pni drzew, jej kopała ginęła w gęstwinie ich koron. Oczekiwałem przybyszy w połowie drogi między wodą a świętym miejscem. Pamiętam zimne poranki, pochylone, kulejące sylwetki wynurzające się chwiejnym krokiem z mgły.

Umieszczenie cerkwi na wyspie było szalonym, romantycznym pomysłem jakiegoś księcia, którego nigdy nie widziałem na oczy. Należały do niego zarówno wyspa, jak i wiele hektarów lasu, tartak i fabryka kleju w stojącym nad jeziorem mieście. Mówili, że wierzy nie tylko w Boga, ale i komunizm. Chciał równości i swobód, ale nie zdecydował się na rozdanie całego majątku ubogim. Zamiast tego postawił im na wyspie cerkiew. Musiał mieć w tym jakiś cel albo chociaż przecucie. Z tego, co mi o nim wiadomo, nie był przesadnie złośliwy. Nie chciałby sprawić prostemu, wierzącemu ludowi kłopotu, każąc wsiadać do łodzi za każdym razem, gdy przyjdzie mu ochota na spotkanie z Bogiem. Może i cerkiew była jego kaprysem, ale jej miejsce, wyspa – to już decyzja. On, który nigdy nie postawił na niej stopy, chciał nam w ten sposób coś powiedzieć. Coś, co wydawało mu się tak ważne, że nie dało się tego zapisać w dzienniku czy liście, wybełkotać w pijackim widzie ani wtrącić mimochodem podczas proszonej kolacji. O czymś wiedział, ale nie był w stanie tego z siebie wydusić. Dlatego wybudował na samotnej wyspie cerkiew i zesłał na nią naszą rodzinę.

Ojciec nie pytał go o motywację, kiedy zaproponował mu objęcie tego posterunku. Oprócz cerkwi, książę postawił na wyspie dom i zorganizował niewielkie gospodarstwo dla naszej rodziny. Niczego miało nam nie brakować. Nie mieliśmy po co przeprowiać się na drugą stronę jeziora, to miasto przyplęwało do nas. Niezbyt licznie, ale bardzo regularnie. Mimo naszego oddalenia mogliśmy wciąż być na bieżąco ze wszystkim, co wówczas działo się na świecie. Ojciec pytał jednak o podobne sprawy rzadko, a z czasem w ogóle przestał. O wybuchu rewolucji dowiedzieliśmy się po końcu wojny. Byliśmy – wyspa, cerkiew, nasza rodzina – tajemnicą tego miasta. Pilnie strzeżonym sekretem, czymś na wzór talizmanu, którego nie wyciąga się nigdy z najdalszego końca szuflady, ale jego zniknięcie byłoby

trudnym do zniesienia ciosem. Trudno powiedzieć, czy to nas ukrywali przed światem, czy może raczej sami się w ten sposób chowali. Miasto było jak dziecko, które nie wie co się wokół niego dzieje, ale przeczuwa, że z gmatwaniny dorosłych spraw nie wyniknie nic dobrego. Wtedy znajduje jakiś kamyczek czy inny, niepozorny przedmiot, trzyma go zawsze przy sobie, nikomu nie pokazując. A kiedy jego sekret zostaje odkryty, otwiera się przed nim ciemna otchłań. Znowu jest same.

Lody zaczęły puszczać w okolicy marca, do tego czasu nieliczni śmiałkowie przychodzili na wyspę po zamarznętej wodzie. Teraz kiedy nie można było jeszcze przy płynąć, a nie dało się już przyjść, nastąpiły dwa miesiące wielkiej ciszy. Ojciec co rano chodził do cerkwi, zakładał pozłacane szaty, zapalał świece, odmawiał modlitwy i formułki. Ale za nim nie było nikogo, nie licząc matki, mnie i brata. Nikt nie wydał podobnego polecenia, o nic takiego nie prosił, a jednak wszyscy zamilkli. Nawet najprostsze komunikaty przekazywaliśmy sobie gestami. Skinieniem głowy, ruchem ręki. Nie było o czym mówić, skończył się czas mówienia.

Od kiedy w maju zaczęła się na dobre wiosna, łódki zaczęły znowu przybijać na wyspę. Liczniejsze i bardziej zapełnione niż kiedykolwiek wcześniej. Ale w niczym nie zmąciło to panującej na wyspie ciszy. Może to my wytworzyliśmy wokół siebie tak gęstą aurę milczenia, może to wyspa tak na nich działała. A może taki po prostu był czas. Łódkę, na którą czekaliśmy, poznałem z daleka.

Była zupełnie inna, płynęła szybciej i bardziej pewnie niż pozostałe. Postacie, które w niej stały były tak naprężone i pewne siebie, że można było odnieść wrażenie, iż to własną siłą woli przecinają wodę i

popychają łódź naprzód. Ojciec minął mnie bez słowa. Rozmawiali dobre pół godziny, trzech ludzi i on. Wyprostowany, z wypiętą pierśią i rękami wyciągniętymi do tyłu, jak człowiek gotowy do walki. Pomyślałem wtedy, pierwszy i ostatni raz, że jest piękny. Gdy wiele lat później oglądałem ryciny rzymskich bóstw, przypomniła mi się ta jego posągowa postawa. Nikt nie podnosił głosu, delikatne pluskanie wody przede mną i szum drzew za moimi plecami doskonale zagłuszały ich słowa. Tylko po nieruchomych sylwetkach można było poznać, że toczy się między nimi jakaś walka. Na koniec uścisnęli sobie ręce. Było po wszystkim.

Pamiętam. Naprężoną, odgiętą do tyłu szyję. Charczący jęk i nieopisane przerażenie w oczach. To ostatnie najlepiej, pewnie dlatego, że oglądałem je potem jeszcze wiele razy. Wyrwał się, ale nie miał szans z ciężkim, podbijanym butem ojca, a jeszcze mniejsze z jego wściekłością. Im bardziej kozioł się wyrwał, tym mocniej był przyciskany do ziemi i wyżej unosiła się jego szyja. Jeszcze dokładniej odsłaniając się przed ciosem, który miałem mu zadać. Im dłużej zwlekałem, tym głośniej ojciec wrzeszczał. Jego krzyk unosił się nad całą wyspą. Przecinał las, obiegał brzeg, wznosił się wysoko nad kopułą cerkwi. Przecinał i odganiał ciszę. Nie tylko przerywał panujące od miesięcy milczenie. Na wyspie, od kiedy stanęła na niej cerkiew, nikt nie podnosił głosu. Nawet ptaki zdawały się szanować ten niemy nakaz. Krzyk ojca miał magiczne, hipnotyzujące działanie. Odezwała się w nim cała szamańska przeszłość naszej rodziny. Jeszcze jego dziadek podróżował regularnie między siedmioma niebami i siedmioma piekłami. Swoją rytuał rozpoczynał nie od znaku krzyża, ale wypicia wprawiającego w trans napoju.

Na początku byłem po prostu przerażony tym, co miałem zrobić, ale teraz porwał mnie ze sobą krzyk ojca. Nie chciałem, żeby przestał. I on też tego nie chciał. Jego wrzask był zaklęciem, a on sam czarownikiem, który zaczynał odkrywać posiadaną od zawsze, ale dotychczas nieuświadomioną moc. Nie pamiętam słów, które z siebie wyrzucał, nie jestem nawet do końca pewien, czy były po rosyjsku. Pamiętam tylko to, co ważne. Im bardziej się go bałem, tym bardziej kochałem. Byłbym w stanie zrobić dla niego wszystko. Choćby zabić. Wybił mnie z transu, wrywając z ręki nóż.

Zamilkli obaj w tym samym momencie – ojciec i kozioł. Popatrzyliśmy na siebie, ale nie byliśmy w stanie wytrzymać naszych spojrzeń. Kilka miesięcy później opuściłem wyspę. Teraz zdałem sobie sprawę, że tamtego dnia przestałem wierzyć w Boga.

Tego nie mogę już pamiętać, nie było mnie tam wtedy z nimi. Opowiedzieli mi o tym sąsiedzi, ludzie, obok których rodzice zamieszkali po powrocie z wyspy do miasta. A skąd oni się o tym dowiedzieli? Nie pytałem, są rzeczy, o które nie ma sensu pytać. Może rodzice czymś się zdradzili, a może tak toczyły się dookoła wypadki, tak konsekwentnie i przemożnie, że zwyczajnie tak musiało być. Miasto to nie wyspa, tu podlega się sile ciężenia innych ludzi, nie tylko cerkwi, lasu i wody. Tu los jest wspólny i to on ma swoje przypływy i odpływy.

Już na wyspie ojciec zaczął niedowidzieć, w mieście oślepnął do końca. Matka prowadziła go wszędzie za rękę, po ulicy, a nawet po mieszkaniu, którego układu nie był w stanie się nauczyć. Nie zakładał już szaty duchownego, wisiała w szefie. Nad liturgicznymi sprzętami i najcenniejszym – w sensie, na jaki umówili się między sobą przed wiekami ludzie – przedmiotem. Sporym, złotym krzyżem, jaki ojciec zakładał na siebie za każdym razem, gdy ubierał sutannę.

Kiedy zaczął się głód, matka co jakiś czas wyruszała z kolejnym elementem liturgicznego wyposażenia w miasto. Najpierw sprzedać, potem kupić. Pożłacane wieczka ampułek za czterysta gram czarnego chleba. Sutanna za półtora kilo ziarna. Ojciec o nic nie pytał, ani o to, co zabierała, ani co przynosiła. Posłusznie, w dwóch wyznaczonych co dzień porach, wchłaniał w siebie kurczące się racje, nie zabierając głosu ani na temat ich pochodzenia, objętości ani jakości. Od kiedy oślepnął, do końca poddał się wszystkiemu, co się wokół działo. Nie był posłuszny, tylko nieruchomy. Nie akceptował ani się nie sprzeciwiał. Trwał w swojej ślepotcie i milczeniu. Miał swoją własną sprawę, niecierpiącą zwłoki, bo od dawna już odkładaną. Teraz kiedy dookoła zapadła ciemność, mógł wreszcie przejść do właściwej rzeczy.

Tak musieli wyglądać jego przodkowie, kiedy w ciemnościach syberyjskich nocy wyruszali samotnie do lasu, by tam umrzeć do nowego życia. Musiało w nich umrzeć wszystko, co ludzkie, żeby zrobiła się choć wąska szczelina dla boskiego światła. Zapalali ogniska, szeptali stare baśnie i słowa, których nie można wymawiać wśród ludzi. Ich miejsce jest pośród drzew. Ich samotność trwała tygodniami; jeżeli nie potrafili polować, mogła ich czekać śmierć z głodu. Wrócić do wioski nie było im wolno. Chyba tylko po to, żeby zabrać najbardziej

potrzebne rzeczy i odejść na zawsze. Dla tego, który zawrócił ze świętej drogi, nie ma miejsca pośród ludzi. Będzie niósł swoją hańbę przez świat jak Kain. I jak on zamieszka w końcu w jakimś mieście, albo zbuduje własne. Dlatego nigdy nie wracali przed czasem. Rzadko jednak umierali. Człowiek głodny – dowiedziałem się tego niewiele później – jest najbardziej pomysłową i zaradną odmianą naszego gatunku. Uruchamiają się w nim nieprzeczuwane pokłady kreatywności i siły. Ucisza rozsądek, strzepuje z siebie ogładę – przesady świata sytych. I wyrusza na łowy. A nocą, przy zapalonym ogniu wielbi siłę, która dała mu jeść i nienawidzi jej, bo jutro uczyni go znowu głodnym. Szamani uczyli się umierać w lesie, mój ojciec – w ciemności, ja – w obozie. Mam wrażenie, że przechodziliśmy podobną drogę. I, że żaden z nas nie doznał do jej końca, by wyjść po drugiej stronie. Lecz zdaje mi się też, że z nas wszystkich ojciec znalazł się tego miejsca najbliżej.

Milczał miesiącami. Patrzył się przed siebie i trwał w swoim natężonym, pracowitym wyczekiwaniu. Do chwili, gdy w ich szafie ze skarbami został już tylko złoty krzyż. Któregoś rana matka wsunęła go ojcu do ręki razem z nożem. Nie wiem, czy tym samym, którym ja miałem zabić kozła, to z resztą nie ma większego znaczenia. Krzyż trzeba było pociąć na kawałki i sprzedawać partiami. Jako całość stanowił zbyt dużą wartość, by można było za niego dostać uczciwą cenę. Poza tym ktoś mógł go ukraść zapuszczającej się w najciemniejsze zaułki czarnego rynku matce. Nie warto było ryzykować, należało ciąć.

W lewej ręce trzymał krzyż w prawej – nóż. W pewnym momencie położył oba na kolanach, a krótkim, gwałtownym ruchem rozszarpał rękaw koszuli. Matka poprowadziła go do stołu. Rozłożył przed sobą rękaw ciemnoniebieskiej koszuli jak korporał. Na nim położył krzyż. I

cicho coś szepcząc – matka nie dosłyszała, a sąsiedzi nie domyślali się co lub o czym to było – zaczął zeskrobywać z krzyża grubą warstwę złota. Na początku szło mu to dość niezdarnie, tak że omal nie uciął górnej, poprzecznej belki, symbolu dobrego łotra. Dość szybko poprawił jednak chwyt i technikę, teraz szło mu już sprawniej. Okruszynki, czasem całe cienkie płaty zlepionego kruszcu opadały na rękaw koszuli. Kiedy naga, sinometalowa konstrukcja ukazała się oczom matki – ojciec orientował się w postępach swej pracy dotykiem grubych, zgrabiących palców – zaczęło się obdrapywanie figury Chrystusa. Pociągnięcia noża były teraz krótsze, bardziej precyzyjne i częściej przerywane kontrolującymi postępy palcami. Ojciec ruszał ustami już niemal bezgłośnie, tylko wydobywające się z nich, modulowane ich ruchami powietrze przerywało panującą w pokoju ciszę.

Złoty proszek matka zebrała do słoika. Krzyż leżał wciąż na rozłożonym kawałku materiału, kiedy dwa miesiące później sąsiedzi odkryli, że rodzice nie żyją. Na krzyżu nie było dość złota, by przetrwać głód. Umierających w tamtym czasie znajdowano w różnych, czasem makabrycznych i przerażających pozach. Rodzice tymczasem siedzieli na łóżku ojca. Obok siebie, z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała. Zgodnie ze zwyczajem, który w Rosji każe usiąść na chwilę przed drogą.

Jan Maciejewski



Ministerstwo
Kultury
Dziedzictwa
Narodowego
i Sportu.



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 – 2030

